

Ks. Mieczysław BRZOSOWSKI

KOŚCIÓŁ I OJCZYŻNA Refleksje z młodzieńczych lat*

Każdy naród posiada jakieś Boże moce, które winien przyjąć i rozwijać. [...] Katolicyzm może doskonale istnieć poza Polską i bez kultury polskiej, ale kultura polska bez katolicyzmu straci swą tożsamość, stanie się czymś gatunkowo różnym, po prostu przestanie być kulturą polską.

Najprzód był rodzinny dom. Wzgórze św. Jacka we Lwowie, ul. Hetmana Tarnowskiego 92. Byli ojciec i matka – tak bardzo radośni do września 1939 i tak bardzo zatroskani aż do końca swoich dni. Był przepiękny widok z balkonu – rozciągający się gdzieś od smukłych wież kościoła św. Elżbiety i masywu cerkwi św. Jura na zachodzie aż po rogatki wschodnie, poprzez które w dramatycznych dniach trwogi wkraczali Sowieci. Był rozległy orzech rosnący w ogrodzie, potężny, sięgający trzeciego piętra. W cieniu jego gałęzi toczyły się dziecięce zabawy z rówieśnikami. I z tamtych dni wylania się też kościół, najprzód św. Mikołaja – przy starym gmachu uniwersytetu; niedzielne wędrowki tam z ojcem i z matką. Czasem tylko z matką. Dziwne powyginane figury, jakby uchwycone w locie rokokowe rzeźby zapładniały dziecięcą wyobraźnię. Dokąd im tak spieszo? A w dole gęsty tłum ludzi śpiewających rzewną pieśń: Z tej biednej ziemi. I ksiądz z tacą, na której widniał napis: „na podatki”. W dziecięcym umyśle ten kontrast nasuwał skojarzenie: te figury ulatują ku lepszej ziemi, gdzie nie ma smutku, zgnębionego tłumu, podatków...

Potem gdzieś od dziewiątego roku życia zacząłem chodzić do kościoła Księży Misjonarzy przy ul. Snopkowskiej. Wyrastał on dopiero z ziemi, przypominał dużą halę fabryczną. Przy nagich ścianach prowizorycznie ustawione ołtarze. Ale to było jakieś bardziej naturalne, mniej kontrastowało z okrucieństwem życia. Wtedy do Misjonarzy chodziłem codziennie. Byłem tam ministrantem, a zresztą zaprzyjaźniłem

* Artykuł niniejszy jest ostatnim tekstem napisanym przez Księdza Profesora Mieczysława Brzozowskiego. Przekazał rękopis do naszej redakcji na kilka dni przed udaniem się na operację serca, podczas której 29 listopada 1991 roku zmarł. „Ethos” w jednym z następnych numerów poświęci odrębny dział temu niezwykłemu i nieodżałowanemu Kapłanowi, Duszpasterzowi i Wychowawcy. (Przyp. red.).

się z nimi, stali się moją drugą rodziną. Do dziś pamiętam ich twarze, nazwiska... Kałężny, Schletz, Wiśniewski, Grucel, Zabrzeziński, Zapiór... Były dni, że służyłem do dwóch, trzech Mszy św. Bóg stawał się tak bliski, oczywisty, wprost dotykalny. Ministranturę rozumiałem dobrze. Gdy zatroskany kapłan jakby ze skargą wypowiadał słowa: „quare me repulisti, et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus?”, odpowiadałem jakby wprost do niego: „spera in Deo, quoniam adhuc confitebor illi...”.

Rodzinny dom i kościół stawały się czymś najbliższym, wyrastała między nimi jakaś niewidzialna więź. Służąc do Mszy, czułem się w pełni bezpieczny wiedząc, że o parę ławek dalej klęczy matka. Chrystus złożony na ołtarzu i modląca się wraz ze mną matka. Podobnie w domu. Codzienny pacierz odmawiany wraz z matką. Czasem wśród wycia syren, czasem wśród huku wybuchających bomb. Alarm lotniczy modlitwy nie przerywał. Ojciec modlił się codziennie, nie lubił ostentacji, ale spoglądał na nas życzliwie.

Obok domu i kościoła był jeszcze element trzeci, bez którego życie byłoby niepełne. Był jeszcze Lwów. Miasto, które kochałem. Wysoki zamek i stryjski park, Kaiserwald i Persenkówka, przepiękny Łyczakowski Cmentarz, Wały Hetmańskie i ul. Akademicka, piękne kościoły Bernardynów, Dominikanów, św. Magdaleny... Czasami lubiłem godzinami włóczyć się po mieście, bez celu, chłonąc jego oddech, sycić się jego pięknem... Nie zwracałem uwagi na sowieckie czy niemieckie mundury. Cieszyłem się miastem, kochałem moje miasto. Nie byłem o nie zazdrosny, choć wiedziałem, że było to również miasto mojej koleżanki Mirki – Ukrainki, i mojej pierwszej w życiu, dziesięcioletniej sympatii – Rysi, Żydówki. Mirka została potem we Lwowie na stałe, Rysię zamordowali hitlerowcy, ja zostałem przez los rzucony aż do Jeleniej Góry. Ale wtedy było to nasze miasto. Dom, kościół i miasto – jak nazwać tę całość? Ojczyzna? Nie, to pojęcie dopiero wówczas się we mnie rodziło, było dużo szersze, bardziej złożone, trudno uchwytne.

Obok oderwanych słów – zaczęło się od pieśni. Matka swoim pięknym głosem wyśpiewywała dzieje minionych lat: Bywaj dziewczę zdrowe, Leci liście z drzewa, co wyrosło wolne, Za Niemen, za Niemen, ach czemuż za Niemen. Pieśniom towarzyszyła opowieść o Legionach Dąbrowskiego, o zrywie listopadowym i styczniowym, o „Dziadku”, za którym poszły polskie dzieci, o Orlętach... Z tych słów wyłaniała się Ojczyzna, jakaś wielka wspólnota domów, rodzin, miast, kościołów... Coś, czego trzeba bronić, czemu trzeba oddać swą pracę, krew, życie. Matka ucząca pacierza uczyła też kochać to wielkie, nieznane dobro ... Ojczyznę.

Wczesnym czerwcowym świtem 1940 r. widziałem przez okno ludzi wywożonych ciężarówkami autami.

- Dokąd ich wiozą?
- Na Sybir.
- Czy to daleko?
- Tak, to jakby do piekła, tyle że tam jest bardzo zimno.
- A dlaczego tych ludzi wywożą?
- Bo są Polakami. Oni cierpią za Ojczyznę.

Ta rozmowa z ojcem uświadomiła mi, że za Ojczyznę trzeba cierpieć.

Potem dochodziły wciąż nowe wieści o losach aresztowanych, deportowanych, rozstrzelanych. Wśród ofiar padały często nazwiska księży.

- Dlaczego aresztują księży?
- Bo Kościół zawsze cierpiał razem z Polakami.

Nie bardzo rozumiałem, co znaczy ten cierpiący z Polakami Kościół. Bo kościół to był ten św. Mikołaja, św. Wincentego... Ale przyszło mi na myśl, że jeśli Ojczyzna to coś więcej niż Lwów, to cała Polska, a więc i Kościół to chyba wszyscy księża w Polsce.

Z biegiem czasu coraz częściej słyszałem słowa: Armia Krajowa. To ci, którzy kochają Ojczyznę i jej służą. Zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że ulubiony przeze mnie ksiądz należy do Armii Krajowej. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że między Kościołem a Ojczyzną istnieje jakaś szczególna więź.

Znaki tej więzi mnożyły się nieustannie. Nie zapomnę wspaniałego nabożeństwa odprawionego gdzieś w pierwszych dniach lipca 1943 r. w intencji generała W. Sikorskiego. Katafalk spowity w czerwień i biel, śpiew zespolonych chórów, słowa otuchy i nadziei. A to wszystko publicznie, na oczach wywiadowców gestapo.

Wreszcie znowu powrót Sowietów, oficerowie Armii Krajowej, w tym wielu księży, zostają podstępnie aresztowani i zesłani w głąb Rosji. Wciąż jak refren powtarza się wspólnota niedoli: kapłani dzielą los obrońców ojczyzny.

Momentem decydującym dla kształtowania się świadomości 13-letniego chłopca był rok 1946. Polacy opuszczają Lwów, wagony towarowe wywożą jednych na Zachód, innych na Wschód. A wraz z wyjazdem Polaków zamyka się rzymskokatolickie kościoły. Czyż więc nikomu nie będą już służyły? Miałem wrażenie, że Kościół wraz z Narodem opuszcza to wszystko, co tak bardzo kochałem. Ale przecież Ojczyzna istnieje, bo do niej jedziemy.

W tej chwili rodziła się we mnie jeszcze jedna refleksja. Kościół w jakiejś swojej postaci towarzyszy każdemu narodowi. Wszak gdy Ukra-

incom odbierano ostatnią iskrę nadziei na wolną ojczyznę – zamykano cerkwie unickie...

7 lipca 1946 r. przybyłem do Jeleniej Góry. Otaczało mnie piękno przyrody, której nie sposób zapomnieć. Czyste ulice, schludne domy, skrzynie z kwiatami w arkadach otaczających ratusz. A jednak to już nie był mój Lwów. Co gorsza, każdy kamień zdawał się nosić ślady łez tych, którzy stąd pospiesznie musieli wyjechać. Przydzielono nam mieszkanie, którego właściciele chcąc uniknąć przesiedlenia – popełnili samobójstwo. Tam po raz pierwszy zobaczyłem rodaków żądnych grabieży i zemsty. Dziwiłem się, jak szybko sowietyzacja potrafi zdeprawować ludzki charakter.

W Jeleniej Górze – obok domu i kościoła – przemożny wpływ wychowawczy miała przyroda oraz szkoła. „Szkoło, szkoło, gdy cię wspominam, oczy mam pełne łez” (J. Tuwim). Dotąd bowiem szkoła w moim życiu odgrywała rolę marginalną. Trzy klasy lwowskiej Volksschule dały mi znajomość czytania i pisania. Potem następne trzy klasy polskiej średniej szkoły budziły już tylko obrzydzenie przesytem kłamstwa. Teraz szkoła urastała do rangi sanktuarium, które jakby klamrą spinało wszystko, co szlachetne. Liceum Ogólnokształcące im. S. Żeromskiego. Nauczyciele w większości przybyli z Warszawy, młodzież to dzieci inteligencji polskiej rzuconej falami pojałtańskiej zawieruchy na tę krawędź ziemi, która pamiętała Polskę z czasów Bolesława Krzywoustego. Nigdy nie zapomnę takich postaci, jak dyrektor Maksymilian Tazbir, prof. Zofia Karwińska, zaprzyjaźniona w odległych czasach z bł. Ursulą Ledóchowską, czy ks. dr Stanisław Turkowski. Ci ludzie i im podobni zaważyli na moim sposobie myślenia. To dzięki nim zrozumiałem, czym naprawdę jest Ojczyzna i co Ojczyźnie daje Kościół.

Zrozumiałem, że Ojczyzna to ziemia – ale ziemia ostatecznie należy do tych, którzy się na niej urodzili i wychowali. W tym sensie moją Ojczyzną jest i będzie Lwów, jego wspaniała architektura, niepowtarzalny klimat uczuciowy i intelektualny. Ale Lwów – to również ziemia urodzonych tam i wychowanych Ukraińców, Ormian, Żydów... Tam stały ich kolebki i tam są ich groby. Ostatecznie w tym sensie Ojczyzną dla wielu Niemców jest również Jelenia Góra. „Ziemia ojczysta – jak pisał Jan Paweł Woronicz – to przybytek święty... pola, lasy rzeki...”. Dlatego nigdy nie wolno pozbawiać ludzi ich rodzinnej ziemi. Jałta to symbol usankcjonowanej zbrodni. Ojczyzna to też rodzinny język... „Nad moją kolebką matka się schylała i po polsku pacierz mówić nauczała”. W języku wypowiada się dusza narodu, jego najgłębsze przemyślenia, odczucia. Ze wzruszeniem słuchałem w szkole o dzieciach z Wrześni, o strajkach w zaborze rosyjskim... „Nie damy pogrześć mowy”.

Jednak z biegiem czasu zrozumiałem, że Ojczyzna to przede wszystkim kultura; potrzebna ziemia, aby na niej żyć, potrzebny język, by nim wypowiadać samego siebie – ale o istocie Ojczyzny stanowi kultura. To o tej Ojczyźnie śpiewała mi matka, jej dzieje mi opowiadała; to za tę Ojczyznę modlono się w domu i w kościele; za tę Ojczyznę ginęli żołnierze Armii Krajowej; jej ofiarowywali swe życie męczennicy Katyń, Oświęcimia, Workuty, Kołomy czy Majdanka. Szkoła uświadomiła mi, że jeśli jestem Polakiem, to nie dlatego, że urodziłem się we Lwowie i kochałem wszystko, co lwowskie; nawet nie dlatego, że mówię po polsku, lecz dlatego, że od dzieciństwa żyję polską kulturą: jej historią, literaturą i sztuką, że żyję w kręgu polskich zwyczajów i obyczajów, że przyswoiłem sobie polską mentalność. Po prostu dlatego, że po polsku myślę i działam.

Do tej świadomości dochodziłem powoli, lecz systematycznie i wytrwale. Przede wszystkim chciałem poznać narodową historię, gdzieś od pierwszych Piastów po dramat Powstania Warszawskiego. Do wszystkich szczegółów tej historii odnosiłem się ze swoistym pietyzmem. Chrobry, Łokietek, Jagiellonowie, Batory, Sobieski, książę Józef Poniatowski, Traugutt, Piłsudski, Sikorski, Anders – jawili mi się jak poczet narodowych świętych. Doszukiwanie się w nich jakichś wad uważałem za równoznaczne z mówieniem o słabościach własnych rodziców. Jakże wdzięczny jestem wspomnianej już nauczycielce historii Z. Karwińskiej, która miała odwagę nas ostrzegać: „Nie korzystajcie z podręcznika, podręcznik kłamie!” Jakże wdzięczny jestem dyrektorowi M. Tazbirowi, który publicznie w auli szkolnej wypowiedział słowa: „Chylę skroń przed bohaterstwem dziewcząt i chłopców – żołnierzy Armii Krajowej”. A były to czasy, w których wypisywano na murach slogany o „zapłutych kartach reakcji”.

Obok historii pragnąłem poznać literaturę, szczególnie z okresu romantyzmu i Młodej Polski. Wydawało mi się, że w słowach Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego czy Wyspiańskiego żyje Ojczyzna. Że tam ją dotykam, w niej się zatapiam. Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego umialem prawie na pamięć. Na dźwięk Warszawianki czy Pierwszej Brygady napływały mi łzy do oczu. Podobnie ekscytowało mnie polskie malarstwo, szczególnie malarstwo historyczne Matejki, Grottgera, Kossaka i Styki. To wszystko stanowiło Polskę, Polskę bohaterską, zelżoną, pielgrzymującą.

Na italskim Apeninie,
Na hiszpańskich Sierrów szczycie...
Na germańskich niw równinie
Po moskiewskich wszystkich lodach
Na francuskim każdym polu

(Z. Krasiński)

Historia, literatura, malarstwo i muzyka pozwalały mi w młodszej ekstazie powtarzać za Krasińskim: „Polsko moja, Polsko święta...”

Wtapiając się w kulturę polską z dnia na dzień rozumiałem coraz lepiej, że Polska to również obyczaj narodowy: roraty, kolęda, opłatek, Gorzkie Żale, niedzielne nieszpory z rzewną melodią psalmów w tłumaczeniu Kochanowskiego... Polska to gościnność, serdeczność, uwrażliwienie na potrzeby drugiego człowieka – a przy tym poczucie humoru i odwagi, niekiedy odwaga wprost szaleńcza... Samosierra, Rokitno, Cud nad Wisłą, Monte Cassino...

Im bardziej kochałem Polskę, tym bardziej uświadamiałem sobie, że to wszystko, co wielkie i piękne, kultura polska zawdzięcza Kościołowi: Kościołowi to nie znaczy konkretnym biskupom czy kapłanom, w historii bowiem bywało różnie – lecz Ewangelii, Chrystusowej nauce o miłości i braterstwie. Stygmat Ewangelii jawił mi się na wszystkim, co prawdziwie dobre w kulturze polskiej. Często myślałem o słowach A. Mickiewicza: „Polska historyczna, Polska wolna, oświecona, zaczyna się od chrześcijaństwa” (O duchu narodowym). Zastanawiałem się też nad myślą, jaką zawarł poeta w Składzie zasad: „Duch Polski – Ewangelii ciało”. To nie znaczy, że nie znałem smutnych, a nawet ponurych kart z dziejów ojczystych, jak również historii wielu niegodnych kapłanów. Wszak były to lata 1946-1950 i propaganda komunistyczna szczególnie dbała o uwypuklenie wszelkich przeszłych i aktualnych zjawisk negatywnych. Miałem jednak jasną świadomość, że to, co w dziejach Polski i polskiego duchowieństwa było złe – stanowiło po prostu zdradę zasad Ewangelii. Kościół głosząc naukę Chrystusa uszlachetniał kulturę i uczył miłości ku Ojczyźnie. Rodzący się w ten sposób patriotyzm był daleki od wszelkiego nacjonalizmu. Miałem pełną świadomość, że każdy człowiek ma obowiązek kochać to, co szlachetne w jego kulturze narodowej.

Pierwsze lwowskie odczucia o związku Kościoła z narodem zaczęły się egzemplifikować. W szkole dowiadywałem się, że Kościół przyniósł organizację państwową, zespolił rozbite plemiona, nauczył karczowania lasów i uprawy roli; że Kościół zakładał szkoły parafialne, klasztorne i uniwersytety; że Kościół pierwszy ogarnął swą opieką sieroty, ludzi opuszczonych, chorych, umierających, zakładał żłobki, przedszkola, szpitale, przytułki... Czynił to wszędzie tam, gdzie mógł działać – stąd wspólnota kultury europejskiej. Czynił to i w Polsce, zaszczerpił w naszym narodzie troskę o człowieka. Sięgając myślą do przedwojennego Lwowa – przypominałem sobie, jak wiele instytucji społecznie służebnych było dziełem Kościoła.

Równocześnie – przynajmniej od XVIII wieku – każdy, kto atakował Polskę, zwalczał też Kościół katolicki – i odwrotnie: ataki na Koś-

ciół wymierzone były przeciwko Polsce. Już Żeromski zauważył, że w tym kraju, gdy krwawi polskość, krwawi i katolicyzm. Szczególnym tego przykładem był zabór rosyjski i pruski w XIX w., a przede wszystkim zachowanie się hitlerowców i Sowietów w wieku XX. Nic bardziej nie mogło przemówić do wyobraźni młodego człowieka. Kościół w swej ewangelicznej istocie wydawał mi się bastionem, o który muszą się rozbić wszelkie fale zła. Wiele pomogła mi w tych przemyśleniach przeczytana w szkole średniej książka F. Kwiatkowskiego *Filozofia wieczysta w zarysie*. Zrozumiałem, że istnieje jakieś ponadczasowe prawo natury wypisane w świadomości wszystkich ludzi i że Kościół nieustannie stoi na jego straży. Poszczególne jednostki mogą upadać, lecz prawo to jest niezmiennie. Zrozumiałem też, że prawo natury zostało dopełnione prawem objawionym.

Nie chcę przez to powiedzieć, że wychodząc ze szkoły średniej uważałem, że tylko Polak może być dobrym katolikiem. Przeczytałem temu doświadczenie. Ale byłem najgłębiej przekonany, że akceptacja najwyższych wartości polskiej kultury narodowej musi zawierać w sobie akceptację chrześcijańskiego, a raczej wprost katolickiego systemu wartości. Katolicyzm może doskonale istnieć poza Polską i bez kultury polskiej, ale kultura polska bez katolicyzmu straci swą tożsamość, stanie się czymś gatunkowo różnym, po prostu przestanie być kulturą polską.

Kochając Polskę równocześnie szczególnie ceniłem kulturę ludów europejskich, wiedząc, że u jej korzeni leży słowo Ewangelii. Inkwizycja, wojny krzyżowe, religijne, poddaństwo chłopów, konkwista i podbój kolonialny, komunizm, hitleryzm – były dla mnie oczywistym znakiem, dokąd można zejść gardząc słowem Chrystusa.

Pod wpływem światłych nauczycieli i osobistej lektury szczególnie obrzydzeniem napawał mnie nacjonalizm o zabarwieniu pozornie katolickim. Wydawał mi się on o tyle groźniejszy od innych dewiacji, że głosił nienawiść w imię Krzyża. Jak daleko sięgam pamięcią, jawią mi się – obok złych i przewrotnych – dobrzy ludzie należący do różnych narodowości. We wczesnym dzieciństwie bawiłem się z dziećmi żydowskimi, potem – jeszcze we Lwowie – przyjaźniłem się z ukraińskimi i rosyjskimi chłopcami i dziewczętami. W Jeleniej Górze nawiązałem więzy koleżeńskie z Niemcami. Jedną z najszlachetniejszych dziewcząt w mojej klasie była Żydówka. Podświadomie, może dzięki lekturze, bardzo lubiłem Litwinów. Nie rozumiałem, jak można kimś gardzić ze względu na jego narodowość czy pochodzenie. Wciąż brzmiały mi w uszach słowa św. Pawła: „Nie ma Żyda ani Greka”, sam zaś marzyłem o Stanach Zjednoczonych Europy, gdzie jednak każdy „stan” zachowywałby swą kulturową tożsamość. Z polityków podziwiałem ludzi tej

miary co de Gasperi, de Gaulle, Adenauer... Byłem też pod szczególnym urokiem uniwersalizmu myśli Piusa XII.

A trzeba dodać, że obok szkoły, kościoła i domu duże wrażenie w owym czasie wywarła na mnie systematyczna lektura „Tygodnika Powszechnego”. Stamtąd dowiadywałem się o personalizmie katolickim, o zadziwiająco otwartym, przedwojennym ośrodku w Laskach, o ludziach na miarę ks. Jana Ziei, ks. Hlebowicza, oraz o nowym, jakże dalekim od nacjonalizmu, rozkochanym w Polsce prymasie – Stefanie Wyszyńskim.

Jeśli żywiłem ku komuś niechęć to ku zsovietyzowanym komunistom. Uważałem, że ci komuniści, z którymi stykałem się koło roku 1939, a potem znów od 1944 r., również nieliczni moi koledzy komuniści z jeleniogórskiej szkoły – to ludzie absolutnie innej niż nasza kultura. Korzeni ich mentalności szukałem gdzieś w pierwiastkach azjatyckich, mongolskich. Byłem przekonany, że ich podstawowym celem jest zniszczenie chrześcijaństwa, a wraz z nim kultury polskiej. Z jaką pogardą odzywali się o całym naszym dorobku dziejowym! Jak nienawidzili historyczną Polskę, Europę i Kościół. Kolega komunista zademonstrował do Urzędu Bezpieczeństwa kilkunastu chłopców z klasy o rok młodszej niż moja. Po torturach i procesie zostali oni w maju 1950 r. skazani na wieloletnie więzienie. Kilku z nich wkrótce zmarło. Jeden zapadł na chorobę umysłową, inni odzyskali wolność w 1956 r. Szczególnie pamiętam Antoniego Chylińskiego; miał lat 16. Jego ojciec był zesłany na Sybir, starszy brat zginął w Powstaniu Warszawskim. Na sali rozpraw z jego rodziny siedziała tylko matka, skamieniała z bólu jak Niobe. I oto, gdy wszyscy przyznawali się do winy – on jeden miał odwagę w ostatnim słowie zawołać: „Wszystko, co pan prokurator powiedział – jest kłamstwem!” Był to dzień mojej matury pisemnej. Tego dramatu nie zapomnę nigdy, jak Józef Mackiewicz nie mógł zapomnieć grobów otwartych w Katyniu.

Ale obok zbrodni zdarzały się i tragifarsy. Koledzy komuniści np. oskarżali nas, że śpiewając pieśni rewolucyjne otwieramy tylko usta, a nie wydajemy głosu. Sądziłem jednak, że komuniści zachodnioeuropejscy mimo wszystko muszą być inni, nie zetknęli się bowiem tak blisko z mentalnością mongolską, mają w sobie więcej kultury chrześcijańskiej. Komuniści to był jedyny rodzaj ludzi do których – spotykając ich na co dzień – czułem niechęć, więcej, przed którymi odczuwałem lęk. Chodzi tu oczywiście o komunistów, a nie o karierowiczów chcących się w zsovietyzowanej Polsce dobrze urządzić. Oni wzbudzali już tylko współczucie.

Biorąc jednak ogólnie, szkoła, Kościół i rodzinny dom nauczyły mnie jakoś charakterystycznego dla kultury polskiej ducha tolerancji w stosunku do ludzi innych narodowości, ras i wyznań. Korzenie sięgały

Ewangelii, Unii Lubelskiej, Ugody Sandomierskiej, Konfederacji Warszawskiej, Konstytucji 3 maja. Dla ludzi innych wyznań żywiłem duży respekt, zwłaszcza dlatego że potrafili zachować tożsamość żyjąc w diasporze. Zresztą mąż mojej stryjecznej siostry był luteraninem. Agnostyków było mi żal: postrzegałem ich jako ludzi „kroczących przez ciemną dolinę”. Jak to – żyć nie dostrzegając ani swego początku, ani kresu? Po co cierpieć, gdy się nie dostrzega sensu własnego bólu? Ale może właśnie dlatego szanowałem ich szczególnie. Zwłaszcza wierni Polsce, umęczeni za sprawę ojczystą działacze PPS-WRN, jak K. Pużak, zdali mi się ludźmi godnymi czci. Przecież oni umierali za kulturę polską, która w swoim rdzeniu jest kulturą chrześcijańską.

Reasumując: opuszczając szkołę średnią byłem głęboko przekonany, że patriotyzm jest nakazem Bożym. Każdy naród posiada jakieś Boże moce, które winien przyjąć i rozwijać. W ten sposób rodzi się kultura stanowiąca o istocie narodu. Jak ja mam obowiązek kochać to, co dobre w kulturze polskiej, tak Niemiec ma obowiązek kochać i rozwijać to, co dobre w kulturze niemieckiej. Nie kocha swojej ojczyzny ten, kto innym odmawia prawa miłości ku ich ojczyźnie. Wszak kochać w kulturze ojczystej można tylko to, co szlachetne, a wielkie dobro pochodzi z tego samego Źródła Dobroci.

Wstępując do seminarium chciałem jeszcze głębiej poznać nasiona Boże zasiane w polską glebę, aby poprzez osobisty trud przyczyniać się do rozwoju ojczystej kultury. Tak oczywiste były dla mnie słowa Z. Krasińskiego: „Bo na ziemi być Polakiem – to żyć święcie i szlachetnie”. Kultura polska stanowiła w moim rozumieniu wyznaczoną przez Boga drogę wiecznych przeznaczeń.

Dziś, po latach, chcę złożyć hołd Rodzicom, wychowawcom, a szczególnie Liceum im. S. Żeromskiego w Jeleniej Górze. Im zawdzięczam zrozumienie, czym Kościół jest dla każdego narodu, a tym samym i dla Polski, dla jej kultury. Szczególny hołd należy się moim profesorom, którzy po 1950 r. za odwagę wyrażania prawdy stracili pracę, i moim kolegom, którym złamano życie. I chwilami rodzi się żal, że ich ofiara jakby za naszych dni mniej owocuje. Gdzieś zanika gotowość do ofiary, wyrzeczenia, solidarności, bezinteresownego trudu – te oczywiste owoce ewangelicznego zasiewu. W ich miejsce wzrasta tak obca duchowi Krzyża walka o władzę, pieniądź i wygodne życie – a to jest zaprzeczeniem kultury chrześcijańskiej, to prowadzi do degeneracji człowieczeństwa, a w konsekwencji i do degeneracji narodu.

Lublin, 19 X 1991 r.

W rocznicę śmierci Człowieka, który w imię Kościoła i Ojczyzny służył kulturze polskiej – ks. Jerzego Popiełuszki.